

Zwyczajnie chodzę do lasu na śmieci

(Dokończenie ze strony 3)

pasję, sprezentowała mi kijek ze szpikulcem, tak że zbiera się łatwiej. Można powiedzieć, cytując klasyków – siły natury w służbie człowieka. Zbieram śmieci bo nie lubię spacerować po śmietniku. Polecam każdemu. Ostatnio odśmiecilem 6 kilometrów leśnej drogi. Pięknie wygląda. Chwilowo oczywiście.

– W związku z tym, że ten wywiad ukazuje się w „Gazecie Kulturalnej” miałbym do Ciebie prośbę, abys wymienił dziesięciu pisarzy, (prozaików/poetów) których cenisz sobie najbardziej.

– Littel za „Łaskawe”, Marquez, Bułhakow, Dostojewski, Konwicki, Tołstoj, Gałczyński, Mickiewicz – bez „Ballad i Romanów”, Remarque, Norwid i dodatkowo Słowacki za „Beniowskiego”. Jak widać kobiet nie ma, ale tu parytety nie obowiązują. Niestety, niestety, niestety. Ale Szymborska jest super. A może i Masłowska, ale chwilowo nie mam odwagi przeczytać.

– Wywiad ten ukazuje się w styczniowym numerze „Gazety Kulturalnej”, czyli w miesiącu, w którym przyszedłeś na świat, pozwól, że tą drogą przekażę Ci urodzinowe życzenia, a więc wszystkiego najlepszego, przede wszystkim zdrowia a w następnej kolejności ról na miarę Twojego talentu.



Z fascynujących spotkań młodzieńczych (Wspomnienie o Stanisławie Barańczaku)

Ze Stanisławem Barańczakiem (1946-2014) spotkałem się dwukrotnie w Warszawie na ogólnopolskich imprezach literackich, organizowanych – trzeba przyznać: z nie lada rozmachem – przez niezmordowanego Jerzego Leszina-Koperskiego, redaktora periodyku „Orientacja”.

Pierwsze spotkanie w 1970 roku rozgłosiło w środowisku literackim jako rewelacyjny jego zbiór *Jednym tchem* (po książkowym debiucie *Korekta twarzy* z 1968 roku) w postaci poetyckiego suplementu do „Orientacji”;

formuła suplementu przyspieszała, unikało się przydługiej i kłopotliwej w tamtym czasie procedury związanej z wydaniem książki. Niebawem usankcjonowana została czołowa pozycja poety przez tom *Dziennik poranny*, zawierający wiersze z lat 1967-1971.

Drugie spotkanie w studenckiej „Stodole” było popisem Stanisława Barańczaka jako krytyka literackiego. Przczytał pod dyskusyjny rozdział z przygotowanego do wydania zbioru esejów *Nieufni i zadufani* (opublikowanego w 1971). I to właśnie ono utkwiło mi w pamięci szczególnie, gdyż śmiało naówczas postulowane kryterium nieufności w zastaną rzeczywistość i społeczną harmonię, rozbijając język gazetowych komunikatów i stereotypów, demaskowało fałsz, zakłamanie i ujawniało skutki moralnej destrukcji. Zmusiło ono nas – uczestników dyskusji (brałem w niej aktywny udział) do głębokiego przemyślenia społecznego sensu i artystycznej wartości własnych postaw poetyckich, bardzo zróżnicowanych wśród członków Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy, do którego należałem. Postaw w sumie bliższych hasłom „małego realizmu” niż rewizjom „Nowej Fali”, zapowiadanych, prócz Barańczaka, przez Juliana Kornhausera, Adama Zagajewskiego i najbardziej wtedy przemawiającego do mnie poetycką ekspresją Ryszarda Krynickiego.

Ryszard Krynicki imponował żywiołową spontanicznością, zmysłową metaforyką, zaś Barańczak – finezją lingwistycznego rozrachunku ze sztafżem wartości-pojęć. Razem doskonale się uzupełniali.

Gdy dziś wspominam tamten gorący w kręgu młodej literatury (roczników 1940-1948) przełom lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, uświadamiam sobie, jak zasadniczo zwrotny, jak doprawdy probierczy był to czas dla poezji i towarzyszącej jej wtedy blisko krytyki literackiej. Może nie dość od razu został spożytkowany, czemu trudno się dziwić. Wielu zaważało się, poddawszy tylko częściowo surowej terapii wątpienia. A przecież koncepcja Stanisława Barańczaka autentycznie fascynowała przenikliwością wejrzenia w ówczesną poezję i nowatorstwem w jej interpretacji. Zaskoczeni nią byli niektórzy koledzy z „Hybryd”, polemizujący na swym terenie bez frontalnego ataku. Spostrzeżenie, że czuły i czujny poeta pod pozorami harmonii, której nie daje się zwieść, dostrzega w świecie zagrożenia i zapowiedzi destrukcji – było dla mnie rewelacją i wyzwaniem. Oto poeta już nie tylko Bogu, a wprost realnemu światu, na jaki usiłuje wywierać wpływ, zadaje podchwytliwe pytania, zgłasza doń zastrzeżenia, zmusza go do tłumaczenia się, każe mu się mieć na baczności.

W konsekwencji wdzięcznym i efektywnym środkiem wyrazu stawała się dla poety ironia. Subtelna, lekkim draśnięciem nękająca strunę uwagi, to znów ostra, zdecydowana w odwracaniu perspektywy widzenia, chłoszcząca, kpiąca, zdzierająca maski fałszu, za-

klamania. Poeci starszych roczników – za przykładem Wisławy Szymborskiej – odcinali się perfidnej rzeczywistości sarkazmem, drwiną. Rówieśnicy Barańczaka przyjęli postawę analitycznej rozprawy dla naprawy. Ironia była zręcznym sposobem zwodzenia cenzorów, póki się nie połapali i nie zepchnęli poetyckiej czołówki młodych nieustępliwych (choć przecież i starszych kolegów z autorytetem) w pozaoficjalny obieg. Stała się podstawowym narzędziem poetyckiego warsztatu. Wyrafinowanym środkiem przyciągającym inteligentnych czytelników, tropiących znaczeniowe niuanse, dociekających sensów dyskursywnych. W 1973 r. Stanisław Barańczak wydał zbiór szkiców krytycznoliterackich pod wymownym tytułem *Ironia i harmonia*.

Nie związałem się z „Nową Falą”, odstręczała mnie zaprzęzoną do rydwanu poezji stylistyczną publicystyką. Ale chyba w sumie niemało – jak teraz po latach oceniam – przeniknęło do mojej liryki z tamtych prawdziwie inspirujących spotkań, wzbogacając ją o walor spojrzenia ironicznego i nakierowując mimowiednie potem w stronę aforystyki. Zbawczy posiew nieufności zatem swoiście zaowocował.

Stanisław Nyczaj

Do poruszonych tu spraw nawiązuję w mojej książce *Metafizyka tworzenia* (Kielce 2007, s. 150-152).

Stanisław Nyczaj

Ulicami buńczucznej młodości

Pędzę gorącym sercem ulicami buńczucznej młodości, kiedy było nas kilkunastu, a zdawało się – więcej niż tłum.

Przedawaliśmy uparcie swój czas pod prąd, wszystkiemu na przekór, gromko wołając...

na wiatr studzący rozpalone głowy.

Lecz choć przechodniów historii nie porwał krnąbrny rytm strof ani nawet błysk gniewnych metafor – co tchu w piersiach wciąż tam powracam, pędzę gwarnymi ulicami, myśląc zawistne pogonie.

Biegnę na przełaj, roztrącając fale wychłodzonego powietrza.

W nieukojonym uścisku z minionym drga potrącana mimowiednie struna żalu z tamtego nie-do-spełnienia.